BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH 60.

WINCENTY KOSIAKIEWICZ

SARNA
LITERATURA MOJEJ ŻONY
MAJOWE NABOŻEŃSTWA

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1907

Cena 8 kop.

Biblioteczka Uniwersytetów ludowych.

			Kop.
1.	**Konopnicka Marya.**	Dym	6
2.	» »	Banasiowa	6
3.	» »	Nasza szkapa	10
4.	» »	Niemczaki	6
5.	**Żeromski Stefan.**	Siłaczka. — Na pokładzie	8
6.	**Prus Bolesław.**	Antek	8
7.	» »	Na wakacyach. — Katarynka	8
8.	**Orzeszkowa Eliza.**	Siteczko. — Czy pamiętasz?	8
9.	» »	Babunia	8
10.	» »	Ogniwa	8
11.	» »	Panna Antonina	8
12.	» »	A... B... C...	8
13.	**Sienkiewicz Henryk.**	Janko muzykant. — Latarnik	6
14.	» »	Wspomnienie z Maripozy. — Jamioł. — Organista z Ponikły	8
15.	» »	Bartek zwycięzca	12
16.	**Galle Henryk.**	Czytanki polskie I.	30
17.	» »	Czytanki polskie II.	30
18.	**Reymont Władysław.**	Sąd	6
19.	» »	W porębie. — Przy robocie	8
20.	» »	Tomek Baran	12
21.	» »	Pewnego dnia	8
22.	**Junosza Klemens.**	Froim. — Zając	8
23.	**Kraszewski J. I.**	Łoktek na łożu śmierci. — Tatarzy na weselu	6
24.	» »	Upiór	10
25.	» »	Z dziennika starego dziada	10
26.	» «	Profesor Milczek — Rejent Wątróbka	6
27.	» »	W oknie. — Nauczyciele sieroty	8
28.	**Rzewuski Henryk.**	Kazanie konfederackie. — Ksiądz Marek (z Pam. Soplicy)	6
29.	» »	Tadeusz Rejtan (z Pam. Soplicy)	6
30.	» »	Sawa — Pan Borowski (z Pam. Soplicy)	10
31.	**Sienkiewicz Henryk.**	Pieszo przez Czarny Ląd (Listy z Afryki) I.	10
32.	» »	Pieszo przez Czarny Ląd (Listy z Afryki) II.	10
33.	» »	Na Oceanie Atlantyckim (Listy z podróży)	8
34.	» »	Z puszczy amerykańskiej » »	8
35.	**Prus Bolesław.**	Kamizelka. — Michałko	8
36.	**Dygasiński Ad.**	W puszczy	12
37.	» »	Wilk, psy i ludzie	10
38.	**Junosza Klemens.**	Wilki. — Wesołego	8
39.	**Tetmajer Kaz.**	Ksiądz Piotr	6
40.	**Gomulicki W.**	Chałat	8
41.	**Żeromski Stef.**	Zmierzch. — Cokolwiek się zdarzy	6
42.	**Skarbek F.**	Łukasz Stempel	6
43.	» »	Mundur. — Jaszczult	6
44.	» »	Dwie siostry. — Przewoźnik	6
45.	**Wilkoński A.**	Moja mówka pogrzebowa. — Przypadek który na własne oczy widziałem	6
46.	» »	Gorzkie wspomnienia	8
47.	» »	Wspomnienia szkolne. — Pomyłka. — Ułamek.	6

BIBLIOTECZKA UNIWERSYTETÓW LUDOWYCH 60.

WINCENTY KOSIAKIEWICZ

SARNA
LITERATURA MOJEJ ŻONY
MAJOWE NABOŻEŃSTWA

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1907

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

SARNA.

Tak jest paniczu — opowiadał mi raz stary gajowy mojego stryja — sarny płaczą prawdziwemi łzami, gdy się je zabija...

Wiedzą o tem myśliwi i dlatego gdy przyjdzie któremu dobić nożem postrzeloną kozę, robi to z odwróconą głową, aby nie widzieć jej tęskliwych, zapłakanych oczu.

Dziwi to panicza, że zwierzę może płakać, Przysięgać mogę jednak, że to nie bajka... Kilka razy widziałem na własne oczy, a raz nawet łzy sarnie kapnęły mi na rękę...

Opowiem tę historyę, skoro panicz taki ciekawy, ale muszę zacząć od czasu, kiedy jeszcze tej sarny na świecie nie było i kiedym sobie przyjął służącą, Leosię, bo to się jedno z drugiem wiąże.

Tę Leosię tom znalazł w lesie, pod drzewem, niby grzyb jaki...

Była to mieszczka, córka dosyć zamożnego stolarza. Jakiś huncfot zbałamucił dziewczynę, nie myśląc się z nią żenić. Na domiar nieszczęścia,

miała złą macochę, która rządziła i ojcem i domem i nawet warsztatem. Pomiędzy pasierbicą a macochą były bardzo złe stosunki, jak to zwykle bywa w takich rodzinach.

To też gdy nieszczęście wyszło na jaw, zamiast ulitować się nad biedną dziewczyną, ojciec, podjudzony przez żonę, zbił Leosię okrutnie i wygnał ją z domu.

Młodej dziewczynie wstyd było oczywiście ludzkich oczu, ukryła się więc w lesie i ot, wałęsała się po nim przez trzy dni, nie jedząc nic i śpiąc pod pierwszym lepszym krzakiem, zanim ją spotkałem.

Była to noc podczas nowiu, a więc ciemna zupełnie. W takie noce lubią podjeżdżać do lasu złodzieje drzewa. Z nabitą strzelbą od niebezpieczeństwa, wyszedłem przeciw nim i idąc nie ścieżką, ale na przełaj natknąłem się na jakąś kupę gałganów.

— Kto tu! — krzyknąłem ostro...

Dziewczyna podniosła się drżąca od zimna i strachu. Zaczęła mnie przepraszać, że zasnęła na mchu, bełkotała coś, że jest w podróży. Wreszcie chciała odejść, ale zatrzymałem ją i zacząłem przemawiać do niej łagodnie.

Opowiedziała mi swoją biedę z płaczem, głosem urywanym i cichym od wielkiego osłabienia.

Człowiek był wtedy młody, serce miał miękkie, ulitowałem się więc nad jej dolą i zabrałem do chaty. Gdym zapalił świecę i spojrzał na dziewczynę, nieledwiem się przestraszył, tak była zmizerowana, wynędzniała i obdarta. Na ten widok

jeszcze większa wzięła mnie litość i postanowiłem przyjść jej w pomoc, ile będzie w mojej mocy. Najprzód więc ją nakarmiłem, rozpaliłem ogień na kominku aby się ogrzała i następnie ułożyłem na łóżku, aby wypoczęła. Sam zaś poszedłem do lasu, pilnować złodziei. Wróciłem rano, Leosia spała smacznie. Nie budziłem jej... Otworzyła też oczy dopiero nad wieczorem.

Przyszła nieco do siebie i mniej mizernie i nieszczęśliwie wyglądała.

— Cóż panna będziesz teraz robić — zapytałem jej przy kolacyi wesoło, aby nie myślała, że chcę ją zaraz wypędzić z izby.

Zasmuciła się jednak mimo to i łzy zakręciły się w jej oczach.

— Cóż ja nieszczęśliwa teraz mogę począć — zaczęła żałośnie i coś przebąknęła o utopieniu się...

Zganiłem ją za grzeszne myśli i dałem radę, aby do służby poszła. Myślałem, że może się obrazi, boć pomimo nieszczęścia była córką gospodarza i rzemieślnika i w dodatku mieszczką. Ale nie obraziła się wcale, jeno rzekła:

— A ktoby mnie teraz wziął do służby...

Odrzekłem jej, że jeśliby chciała, mogłaby pozostać u mnie...

Trzeba bo paniczowi wiedzieć, że nie byłem żonaty i do żeniaczki nie miałem nigdy żadnej ochoty. Za młodu wzięli mnie do wojska, gdym zaś wrócił do domu, stryj panicza dał mi miejsce strzelca i jak dawniej karabin, tak potem fuzya była najlepszą moją żoną. Wprędce polubiłem las i moje zajęcie i gdym też z fuzyą na plecach wy-

szedł na ścieżkę, a chodzić zaczął po kwaterach, zagajnikach i porębach a zwłaszcza na wiosnę, gdy się nowe życie ruszać zaczyna, to mi już nic do szczęścia nie brakowało i niczego więcej nie pragnąłem.

Pensya, którą mi wielmożny dziedzic przeznaczył i morga gruntu koło chaty, wystarczały zupełnie na moje utrzymanie, a nawet dorabiałem się po trochu. Kupiłem sobie po roku służby jedną krowę, a jeszcze po dwóch latach drugą. Sam je doiłem i sam sobie gotowałem strawę, a choć mi to nieraz subjekcyę sprawiało, nie myślałem o żadnej zmianie.

Teraz jednak przyszło mi na myśl, że jeżeli przyjmę służącą, to jeszcze prędzej będę się dorabiać. Liczyłem na dochód z wypasu wieprzaków, z chowu kur i gęsi. Wszystko to tak łatwo utrzymać i wyżywić, jeżeli się mieszka wśród lasu.

Tak oto trochę z dobroci serca, a trochę i z wyrachowania, chciałem zostawić Leosię u siebie.

Dziewczyna przyjęła to z wdzięcznością wielką i pozostała. Nie miałem zaś z nią wielkiego ambarasu... Dziecko zmarło przy urodzeniu się, ona zaś zaledwie przez parę dni chorowała, poczem wstała i zajęła się bardzo pilnie gospodarstwem.

Od tego czasu życie moje oczywiście zmieniło się trochę. Miałem i wygody większe i jedzenie lepsze i wszystko w domu i w gospodarstwie szło składniej, choć o tem teraz już nie potrzebowałem wcale myśleć. I izba moja stała się jakoś milszą i ładniejszą, to firanki w oknie przybyły, to kwiatek. To też jak z przyjemnością rano wychodziłem

do lasu, tak też i z przyjemnością wieczorem wracałem do domu. Mile mi czas bieżał na świeżem powietrzu, pomiędzy drzewami, mile też i za stołem, przy którym siedziałem z Leosią, wesołą i wygadaną.

Była to bardzo ładna dziewczyna i ani podobna do kocmołucha, którego podjąłem onej nocy w lesie... średniego wzrostu, tęga dosyć sobie, skórkę miała białą i delikatną, oczy śmiejące się, niebieskie, włosy jasne. Była bardzo naiwna, lubiła dużo gadać, śmiała się zaś co chwila lada z czego. Przytem umiała czytać i pisać, jednem słowem, że wcale a wcale nie wyglądała na służącą i to jeszcze na służącą biednego strzelca.

Ot... bo, co tu długo marudzić, powiem paniczowi odrazu, żem ją w kilka tygodni polubił bardzo, a choć i od początku postępowałem z nią jak z osobą delikatną, wkrótce jednak stała się u mnie zupełną gospodynią.

I mnie i jej dobrze z tem było i tak żyliśmy zgodnie i szczęśliwie długi czas, bo pewnie ze dwa lata a może i więcej; dobrze nie pamiętam, bo dawne to już czasy.

Ludzie ze wsi pewnie wiedzieli o tem i ostrzyli o nas swoje języki... Ale to do naszej chaty, ukrytej w głębi lasu, nie dochodziło, więc też nic nam nie mąciło spokoju. Ani ja zaś, ani Leosia z ludźmi się nie wdawaliśmy i tylkośmy widywali ich kiedy niekiedy w kościele, albo na jarmarku.

Pewnego razu na wiosnę, chcąc zrobić Leosi przyjemność, wypatrzyłem i przyniosłem jej młodziutką sarenkę...

Karmiliśmy ją mlekiem i pielęgnowali z taką starannością, jak dziecko. Zrobiłem dla niej zagrodę z żerdzi tuż przy domu, aby nie uciekła do lasu, a miała jednak świeże powietrze i zieleń. Po paru miesiącach urosła i oswoiła się z nami zupełnie.

Nazwaliśmy ją Basiulą.

Rozumiała swoje imię i zawołana przybiegała natychmiast. Teraz już nie trzymaliśmy jej w zagrodzie. Basiula miała zupełną wolność. Chodziła po izbie, po podwórzu, zaglądała do obory i na całe godziny uciekała do lasu.

Nie obawialiśmy się o nią, że zginie... Nie oddalała się zbyt daleko od domu. Dosyć zaś było stanąć w progu i krzyknąć w las: Basiula! a zaraz przybiegała, przeskakując krzaki i mniejsze zarośla.

Sypiała zawsze w izbie, pod stołem. Jadła z ręki, a gdy była głodna, umiała chwycić w pyszczek fartuch Leosi i szarpaniem dopominać się o jedzenie... Bardzo często chodziła ze mną do lasu i towarzyszyła mi w moich obchodach po całych dniach, już to idąc leniwie za mną jak pies, już to skacząc wesoło przedemną i przebiegając mi drogę w tę i w ową stronę.

Śliczne to było stworzonko. Zdaje mi się, że piękniejszego zwierza nad sarnę niema na świecie! Basiula miała zgrabniutką główkę, pyszczek wązki, nieobrośnięty i czarny na końcu, nóżki cienkie i chybkie, a jej oczy, duże, ładne oczy, to zupełnie tak patrzały, jakby to patrzył jaki dobry człowiek.

Stanie bywało, szyjkę wyciągnie nieco do góry i patrzy, to zdaje się, że o coś się dopomina, o coś prosi. Wetknąć jej było w pyszczek kawałek chleba,

a chleb bardzo lubiła, to zdaje się, że jej ślepki przemówią za chwilę i powiedzą: dziękuję. Pogłaskać ją było, popieścić i pocałować, to oczy jej aż błyszczały od radości i zadowolenia.

To też jeszcze weselej było w naszej izbie odkąd zaczęło się nasze życie we trójkę, z Basiulą.

Trwało to przez czas jakiś. Potem po trochu, nieznacznie pożycie moje z Leosią psuć się zaczynało... Dziś rozumiem to, że młoda dziewczyna, choćby i przywiązana do człowieka, znudzić się musi prędzej czy później w samotności leśnej, bez towarzystwa ludzi. Ale wówczas za złe to brałem Leosi, że okazywać zaczynała tęsknotę do świata.

Prowadziliśmy co prawda życie bardzo odludne. Po całych dniach i tygodniach nie widziało się żywej duszy. Domek mój stał w głębi lasu, dosyć daleko od drogi, po ścieżce zaś, która prowadziła do niego, nikt nie chodził ani jeździł.

Ledwie raz na kwartał zaszedł do mnie Werys, gajowy z drugiego rewiru, mój kolega i sąsiad, mieszkający o trzy wiorsty; zresztą żadni goście nas nie odwiedzali.

Sami rzadko wydalaliśmy się z lasu. Nieraz do kościoła poszliśmy, nieraz na jarmark, ale zaraz po modlitwie, lub po kupnie sprawunków wracaliśmy do domu, nie zachodząc do karczmy. Wyglądało to tak jak gdybyśmy się wstydzili przed ludźmi. Może i był w nas wstyd pomimo naszej wiedzy...

Takie życie, śród ulubionego lasu, przy Leosi i Basiuli zdało mi się bardzo pięknem i szczęśliwem. Ale Leosi zaczynało się przykrzyć. Przestało

ją bawić to wszystko, co się jej dawniej tak podobało, już nie myślała tak pilnie o gospodarstwie, ani o upiększeniu naszej izby. Nawet Basiulę sobie uprzykrzyła... Odpychała ją od siebie niecierpliwie, mówiąc ze złością:

— Ach! daj mi pokój!

Gdy wieczorem powracałem do domu, nie wychodziła do mnie na próg, jak dawniej. Siedząc przed kominkiem nie wstawała nawet, aby przywitać się ze mną... Ledwie odwracała głowę przez ciekawość, aby zobaczyć kto wszedł...

Tak się to wszystko zmieniło!

Przez jakiś czas była smutna i milcząca, trudno było dobić się od niej słowa; potem zaś wróciła dawna jej gadatliwość, ale nie wróciła dawna wesołość i uprzejmość.

Teraz same już tylko żale i narzekania miała na ustach, że jej obrzydła taka nudna dola, że siedzi jak sowa w lesie i że ma życie zawiązane...

Jakoż wtedy i kłótnie pomiędzy nami bywały, co się dawniej nigdy nie zdarzało. A kłótnie te powstawały sam nie wiem z czego, bom nigdy do nich pozoru nie dawał najmniejszego. Ot! byle drobnostka jakaś, zaraz się indyczyła i rzucała.

I mnie wtedy doprowadzała do gniewu. Ale tłumiłem go w sobie, myśląc, że może wróci spokój. Kiedy mi dobrze dopiekła, mówiłem jej tylko:

— Źle ci u mnie, to se popraw... ja cię na łańcuchu nie przywiązał.

Odgrażała się, że nie potrzebuje mojej łaski, i że kiedy, jak się zabierze, to mnie rzuci, nawet

jak co niedobrego wymawiała mi, żem ją z lasu wziął i od śmierci niemal ocalił:

— Wolałabym tam zdechnąć — mówiła — niż takie życie pędzić, jak we więzieniu.

Przykre mi to było bardzo, bo pomimo wszystkiego miałem dla niej jak najlepsze serce...

Mówiłem też jej nieraz zupełnie bez złości:

— Przecież nas nikt sznurkiem nie związał' chcesz iść, to idź z panem Bogiem.

I doprawdy myślałem, że lepiej nam obojgu będzie, gdy się rozstaniemy, aniżelibyśmy się mieli męczyć we dwoje.

To też ile razy mówiła z żalem i niecierpliwością, że mnie rzuci, przekładałem jej, żeby zrobiła to nie z głupia, bez namysłu, ale z rozsądkiem, wystarawszy się pierwej albo o przebaczenie rodziców albo też o inną służbę; obiecywałem jej nawet dać przy rozstaniu jedną krowę i w ogóle myślałem o tem spokojnie.

I oto tak się stało, że pewnego razu, gdym wrócił do domu, nie zastałem nikogo...

Wyszedłem na próg i począłem krzyczeć, myśląc, że Leosia jest w bliskości...

Na mój krzyk, przybiegła z lasu Basiula i zaczęła się łasić do mnie; ale nie uważałem na to, zaniepokojony o Leosię.

»A może ona i poszła sobie«, — pomyślałem. I na tę myśl, jakby mi kto nóż wbił w serce. Poznałem, że nie żyć mnie bez niej...

Zacząłem żałować serdecznie, żem tak często mówił o rozstaniu się naszem i żem na to tak skwapliwie przystawał. Chciałem biedz za nią, go-

nić, przejednać prośbą lub groźbą zniewolić... byle wróciła. Krzyczałem: Leosiu! Leosiu! nie wiedząc co robić, w którą pójść stronę.

Tymczasem zapadał wieczór, ciemniejszy w lesie niż na polu; byłem w rozpaczy z powodu zbliżającej się nocy, która utrudnić miała poszukiwania moje, jakich, straciwszy głowę, nie umiałem rozpocząć.

Nagle — pomiędzy drzewami, mignęło mi coś białego... Wytężyłem wzrok, znowu mignęło coś po raz drugi. Zatrzymałem oddech w piersiach, bo zdawało mi się, że tak lepiej będę widział.

I rozpoznałem wreszcie... był to czepeczek Leosi.

Doznałem takiego uczucia, jak zbłąkany, który, po długich utrapieniach odszukuje nareszcie dobrą drogę, podbiegłem do Leosi uradowany i szczęśliwy.

Był to mały deszcz z dużej chmury, bo pokazało się, że Leosia po prostu z nudów, aby się rozerwać, poszła odwiedzić starą Werysową, która mieszkała przy swoim synu.

A jak dobrze to na nią wpłynęło!

Wróciła ożywiona, wesoła i rozgadana, jakiej oddawna nie widziałem. Powiedziała mi, że wygadała się za wszystkie czasy, i że to jej ulżyło. Oczywiście, potrzeba jej było ludzi...

Na drugi dzień poszedłem do miasteczka i kupiłem kawy, na niedzielę zaś zaprosiłem do nas Werysa i jego matkę. Leosia była rada i podziękowała mi za to...

Od tego czasu co święto prawie odwiedzaliśmy

się wzajemnie, co niewątpliwie było powodem, iż Leosią przestała się skarżyć na los i nie groziła mi, że pójdzie sobie.

Nastał więc spokój i zgoda.

Leosia wzięła się znowu chętniej nieco do gospodarstwa, bardziej dbać zaczynała o porządek i przystrojenie naszej izdebki, a nawet zauważyłem, czego nie było dawniej, że stała się strojnisią.

Ile razy szedłem do miasteczka, przymilała się do mnie i głaskała ręką pod brodę, prosząc, abym przyniósł jej wstążkę jaką, tak zaś często narzekała na mały odłamek lusterka, jakim musiała się zadawalać i wzdychała do ładnego lustra, że pewnego razu, zdaje mi się, że to były nawet jej imieniny, chcąc zrobić jej niespodziankę, kupiłem nowe lustro za osiem złotych.

Tymczasem Basiula urosła, zmądrzała bardzo i stała się zmyślna, jakby jaki uczony pies... Leosi sprzykrzyła się ona co prawda, ale ja przywiązałem się do niej i przywiązywałem się coraz bardziej. Takie to było ucieszne, takie miłe, że nie rozumiałem, jak Leosia mogła je odpychać od siebie.

To też ile razy odepchnęła Basiulę, ja przytulałem ją, pieściłem i głaskałem, a wdzięczne zwierzę tak mnie polubiło za to, iż niemal krok w krok za mną chodziło.

Pewnego razu, pamiętam to dobrze, pokłóciłem się z Leosią o Basiulę. Szło o to, iż ona zupełnie zaniedbywała zwierzę i zapominała karmić go regularnie, bo choć sarenka miała dosyć paszy

w lesie, przyzwyczajona była od młodu, do przysmaków w domu. Powiedziałem Leosi o to ostre słowo, ona na jedno odpowiedziała mi dziesięć, ba, sto i powstała kłótnia tak gwałtowna, jakiej chyba jeszcze ściany naszej izby nie słyszały.

Wreszcie Leosia rozgorączkowana, zaczęła dawnym zwyczajem krzyczeć, że pójdzie odemnie, a nawet wzięła się do pakowania rzeczy.

— Oh! ty myślisz, — mówiła w gniewie, — że ja jestem taka głupia, jak dawniej, com uciekała do lasu! Nie bój się, nie... Nie będę żądać twojej głupiej łaski. Teraz nie do lasu, a do ludzi pójdę. Myślisz, że mnie nikt nie weźmie?

— Pewnie, — odparłem w złości, — że taki drugi głupi się nie znajdzie.

— A to widzisz, — bryzgnęła mi — do wieczorabym nawet nie szukała; pierwszy Werys, gdybym chciała pójść do niego, ręce i nogiby mi ucałował...

Nie pamiętam, com odpowiedział na to, zdaje mi się, iż pogroziłem jej, żebym w takim razie, oboje zabił bez względu na czekający mnie Sybir; ale gdym ochłonął i przebaczył jej sprzeczkę, zapomnieć nie mogłem tego, co mówiła o Werysie.

Stałem się niespokojny i złe, podejrzliwe myśli zaczęły mnie trapić. Kilkakrotnie przypominałem sobie, że Werys często przychodził do nas, że Leosia witała go bardzo wesoła i ucieszona, że mówili coś na boku, pół szeptem. Że też ja dawniej nie zwróciłem na to uwagi. Przytem to strojenie się Leosi, to jej bywanie niby u starej Werysowej

co kilka dni... Wszystko to gdym przypomniał sobie, stałem się zazdrosnym i kłótliwym.

Wymówiłem to Leosi, zabroniłem jej chodzić do Werysów i wyrzutami ciągłymi męczyłem ją i siebie.

Wielkie to nieszczęście, jak zazdrość wejdzie w serce człowieka, bo wtedy nie zazna się ani chwili przyjemności, ani sekundy spokoju.

Niemiłym był mi dom, obrzydło mi jadło, straciłem nawet wtedy zamiłowanie do lasu. Nie miałem już przyjemności żadnej w wybieganiu rankiem po rosie na ścieżki, nie nęciły mnie zarośla, polanki i poręby. Opuszczałem się w służbie... Obojętnem okiem spoglądałem na dostrzeżone świeże wióry, ślady nocnej kradzieży.

Włóczyłem się w bliskości chałupy, nie odchodząc daleko, niby koń na łące uwiązany linką do kołka. Co godzina wpadałem do izby, zobaczyć, co się tam dzieje, czy Werys nie przyszedł, czy Leosia nie wyszła. Werys musiał chyba zmiarkować coś, albo mu może Leosia powiedziała, bo przestał zupełnie przychodzić do nas...

Jakże niemiłe było wówczas pożycie nasze. Ja nie mogłem się uspokoić. Leosia też o uspokojeniu mnie nie myślała. Stałem się ponurym i milczącym, ona też całymi wieczorami nie odzywała się nieraz ani razu. Żyliśmy jak dwa wrogi.

Jedna Basiula co umilała mi nieco życie; jej figle i skoki rozweselały mnie i lepiej jakoś mi było na sercu, gdym czuł ją koło siebie, już to biegnącą za mną do lasu, już to kładącą się przy stołku u moich nóg...

Pewnego razu, sam nie wiem skąd przyszła mi myśl do głowy, która mnie trochę uspokoiła; znalazłszy Leosię w nieco lepszem usposobieniu, rzekłem do niej:

— Wiesz co, moja droga. Żyjemy już ot, parę lat razem i tak jakoś... bez ślubu. I grzech to ciężki i ludzie niełądnie gadają o tem... Naco mamy żyć w obrazie boskiej i kłuć ludzi w oczy. Weźmy ślub po bożemu!

Spojrzała na mnie radośnie:

— Jakto? tybyś się naprawdę ożenił ze mną — zawołała.

— Juści że na prawdę — odrzekłem — boć na żarty to jestem przecież już i żonaty. Jest-no niedziela. Na co długo zwlekać, pójdziemy do księdza i damy na zapowiedzi...

Leosia rzuciła mi się na szyję z radości.

— Jaki ty jesteś dobry — mówiła — nie spodziewałam się wcale tego.

W niedzielę poszliśmy do kościoła, gdzie na ambonie wyczytano nasze nazwiska, ku wielkiemu zdziwieniu wielu złośliwych kumoszek...

Stamtąd poszliśmy do karczmy, śmiało, nie zważając wcale na ludzi, którzy z zadziwieniem na nas patrzyli. Aż mi lżej było, że już się nie potrzebuję wstydzić i wszędzie mogę pójść z moją Leosią, gdzie i inni chodzą.

Tymczasem zaś oboje robiliśmy nieco przygotowań do ślubu, bośmy chcieli, aby się wszystko odbyło przyzwoicie. Sprawiłem Leosi nowe buciki i nową spódnicę, ona zaś uszyła sobie kilka bardzo ładnych czepków. Nie włóczyłem się już jak głupi

koło domu, alem biegał po całym lesie, a z dawnego niepokoju i zgryzoty wspomnienie ledwo zostało.

 Cieszyłem się, że szczęście wróciło znowu, pokochałem na nowo i domek mój i moje drzewa i napieścić się nie mogłem Basiuli, która, gotówbym przysiądz na to, że rozumiała moje szczęście.

Co rano zaś, gdym wyszedł z domu, pocałowawszy Leosię zamiast dzień dobry, na widok zieleni świeżej i wilgotnej, która otaczała prześlicznym wieńcem dom mój wokoło, mówiłem sobie z jakąś dziwną radością: »No, nareszcie już i nastał koniec mojej biedzie. Odtąd wszystko będzie dobrze«.

Tymczasem moja bieda skończyła się zupełnie inaczej, niż myślałem.

Oto pewnego razu, najniespodziewaniej, przebiegając część lasu blizką mojej chaty, nie ścieżką, ale na przełaj, zauważyłem ślady udeptanej ludzkiemi stopami trawy...

Innyby i nie spostrzegł tego, bo trzeba było na to oka i doświadczenia takiego, jak ja leśnika, aby z kilku zgniecionych trawek poznać ślady chodzenia i odszukać całą ścieżkę, widocznie przebieganą ukradkiem.

Zacząłem wypatrywać ścieżkę. Wkrótce spostrzegłem, że prowadzi ona do tyłów mojej chatki. Śledziłem drugi jej koniec. Zaprowadziła mnie na niewielką polankę.

Byłem zadziwiony i zaniepokojony.

Właśnie gdym stał tak pod wpływem tego

odkrycia, spostrzegłem w dali zbliżającego się Werysa. Ukryłem się zaraz w krzakach leszczyny, myśląc sobie: »Czego ty tu szukasz ptaszku w cudzym rewirze!«

Położyłem się na ziemi i w oczekiwaniu, co dalej będzie, nałożyłem kapiszon na panewkę. »Ha — pomyślałem sobie — Sybir nie Sybir. Jeżeli ona mnie zdradza i to teraz, teraz, na parę dni przed ślubem, zabiję ją jak psa«...

Fuzya wprawdzie nabita była drobnym zajęczym śrutem, ale przy celnym strzale z małej odległości, gdy się cały nabój wpakuje w serce, wystarczy i dla człowieka...

Upłynął czas jakiś w oczekiwaniu.

Werys nadszedł i zatrzymał się na polance. Chodził parę chwil, potem usiadł na pniu starego dębu. Widocznie i on oczekiwał.

Nie czekaliśmy zaś długo. Pomiędzy liśćmi, odsunąwszy ostrożnie jedną gałązkę osłaniającej mnie leszczyny, dostrzegłem zbliżającą się Leosię. Krew uderzyła mi do głowy. Ręka mi się zatrzęsła, ledwiem nie pocisnął kurka na ślepo. Szczęściem wstrzymałem się i wytężyłem słuch...

Chciałem się dowiedzieć, co jest pomiędzy niemi, jak daleko to zaszło; pragnąłem usłyszeć ich rozmowę, choćby parę zdań, aby dowiedzieć się, czy się już nazywają po imieniu.

Nagle posłyszałem szelest tuż nad moją głową. Spojrzałem w górę... To Basiula szczypała liście okrywającego mnie krzaku leszczyny.

Zapomniałem o tem, że sarna jest przy mnie... Nie podnosząc się z ziemi wyciągnąłem rękę, aby

ją pogłaskać, przyciągnąć do siebie i ułożyć na ziemię w spokoju. Mogła bowiem zdradzić moją obecność. Ale Basiula była w wesołem usposobieniu i zaczęła brykać.

Wtedy rozjuszony uniosłem się do połowy, pochwyciłem ją za głowę i pociągnąłem silnie do ziemi. Upadła na kolana. Chciała się podnieść. Silnem pchnięciem przewróciłem ją wtedy na bok.

W tej chwili tuż przy mnie, usłyszałem głos Leosi i potem odpowiadający jej głos Werysa. Ale szelest, jaki zrobiła Basiula, nie pozwolił mi pochwycić ani jednego słowa... Nadomiar złego, sarna powalona i przestraszona zapewne, zaczęła gwałtownie fikać nóżkami. Cały krzak leszczyny zaczął się trząść... Za chwilę moja kryjówka będzie odkrytą i nic się nie dowiem...

Rozjuszony do najwyższego stopnia, straciłem na chwilę przytomność... Wyjąłem nóż i jednem uderzeniem ręki wbiłem go aż pod rękojeść w wyciągniętą szyję sarenki... W tej chwili bryznął mi na rękę strumień krwi wilgotnej i ciepłej...

Ochłonąłem nagle.

Spojrzałem na Basiulę. Jej oczy, łagodne i rozumne, nabrzmiałe łzami, zwrócone były na mnie z takim wyrazem żalu, żem zapomniał o wszystkiem... Wyrwałem szybko nóż, podniosłem się i zawołałem: »Werysie!« chcąc żądać od niego pomocy w ratowaniu Basiuli.

A w tej chwili Leosia spojrzała na mnie, twarz jej przybrała wyraz przestrachu, krzyknęła

przeraźliwie, potem skryła się za Werysa, błagając go:

— Broń mnie! broń mnie! on mnie zabije!

Werys zrzucił fuzyę z ramienia. Ale ja krzyknąłem mu: »Wody! wody! przynieś w czapce wody jak najprędzej. Basiula mi zdycha«.

Stał przez chwilę niepewny. Potem zbliżył się do krzaka, pod którym lała się krew mojej drogiej sarny rzucającej się w konwulsyach. Pobiegł wreszcie do poblizkiego źródełka, podczas gdy ja urwałem rękaw u koszuli i zacząłem tamować krew...

Biedna Basiula patrzyła na mnie, jak gdyby pytała: »Com ja ci zrobiła złego, człowieku!« Łzy grube, kropliste nabierały w jej oczach... spływały po pyszczku, aż na moje ręce...

Nie mogłem utrzymać łez i płakałem z nią nad moją podłością...

Werys tymczasem przyniósł wody, opłukaliśmy jej szyję i przewiązali głęboką ranę.

Leosi już dawno nie było. Werys bąkał coś o niej, chcąc się usprawiedliwić. Odrzekłem mu sucho:

— A weź ją sobie; nie byłeś pierwszy, nie będziesz i ostatni.

Odszedł wreszcie, a ja pozostałem nad moją Basiulą, pozostałem do późnego wieczora, dopóki jej cienkie nóżki nie wyciągnęły się zesztywniałe, a jej oczy przestały kapać łzami...

Gdym potem poszedł do domu po rydel dla zakopania Basiuli, Leosi już tu nie było. Zabrała swoje rzeczy i uciekła. Dokąd?... Nie wiem do dziś

dnia, bom jej nigdy już nie spotkał, anim nic o niej nie słyszał...

...Dużo już lat minęło od tego czasu, mój paniczu, a jednak jak sobie wspomnę moją Basiulę, tęsknota mnie zaraz chwyta za serce...

Nie takby mi żal jej było, gdyby była zdechła, albo zgubiła się w lesie; ale tego mi żal najbardziej, że własną ręką, dla podłej i fałszywej kobiety, zabiłem wierne i poczciwe zwierzę...

LITERATURA MOJEJ ŻONY.

Rano, zaraz po podniesieniu się z łóżka, podszedłem do ściany, na której wisiał kalendarz, i zdarłem z niego kartkę z wczorajszą datą, jak to czyniłem codziennie. Był to dzień niezwykły w mojem życiu. Dzień trzynasty grudnia. Liczba ta odbita była dużemi czarnemi cyframi, u dołu zaś maleńkiemi literami było wymienione imię patronki tego dnia, świętej Łucyi.

To dzień imienin mojej żony. Czwarty już raz obchodzę ten dzień, opuszczony, samotny.

Stałem tak długą chwilę, wpatrzony w kartkę kalendarza. Obudziło mnie pukanie do drzwi. Przynieśli kwiaty, wczoraj zamówione u ogrodnika. Ubrałem się śpiesznie. W tej chwili zapytano mnie, czy można już podać kawę.

— Dziękuję wam, moja Pawłowo, — odrzekłem — śpieszy mi się, a przytem nie jestem wcale głodny. Ale, ale, — dziś nie będę na obiedzie.

Pawłowa tym razem nie mruczała pod nosem, jak to robiła zawsze, ilekroć zapowiadałem moją niebytność na obiedzie. Była to już dziesiąta go-

dzina. Włożyłem na siebie jesienny paltot i podszedłem do biurka. Otworzyłem w niem skrytkę i wyjąłem z niej kilkanaście malutkich notesików, oprawnych w czarne ceratowe okładki. Była to »literatura mojej żony«. Po chwili schodziłem już ze schodów z temi książeczkami w bocznej kieszeni paltota i z dwoma wieńcami świeżych kwiatów w ręku. Wsiadłem do dorożki i kazałem się zawieźć na Powązki. Przy rogatce kazałem zatrzymać się dorożce i poszedłem na cmentarz pieszo. Przeszedłem wzdłuż starego muru, z poza którego wyglądały drzewa smutne, ogołocone z liści, umarłe. Ale to nie jest śmierć wieczna. Na wiosnę obudzą się one, ożyją. To tylko ci, leżący tam, pod ziemią, nie obudzą się nigdy. Dla nich wszystko się już skończyło. Wszedłem na cmentarz pierwszą bramą. Ziemia, tak skąpo wydzielona każdemu z tych mieszkańców, pokryta była gdzieniegdzie płatami brudnego, topniejącego śniegu. Maleńkie pagórki czworokątne, podłużne, usypane tuż jeden obok drugiego w rzędach pod linię, wyglądały ze śniegu, który je otaczał dokoła. Pokryte były nie umarłą jeszcze, ale bladą, chorą, konającą już roślinnością. Przeszedłem szeroką ulicę pomiędzy kamiennymi i żelaznymi pomnikami, minąłem olbrzymią, stokroć bardziej ponurą, niż sama śmierć, pieczarę i przestąpiłem drugą bramę wewnętrzną. Tu, na tym skromnym, czarnymi krzyżami ubranym kawałku ziemi był jej grób. Doszedłem do nizkiego, walącego się parkanu z desek. Grób Łucyi był ostatnim w rzędzie.

Położyłem dwa wieńce na tej ziemi, wyrzu-

conej z głębi, ażeby zrobić tam miejsce kobiecie, którą kochałem, którą tak kocham ciągle...

. . . .

Uspokoiłem się.

Tuż poza parkanem wrzało życie. Na szeroko roztoczonem polu stały chaty podmiejskie; po liniach krętych, przecinających te pola, toczyły się wozy, posuwali się ludzie. Tuż za parkanem cztery skrzydła wiatraka siekały powietrze. Regularny odgłos turkotu kół przelatywał przez parkan i zakłócał ciszę w tem mieście umarłych.

Usiadłem na drewnianej ławeczce pod parkanem o krok od grobu Łucyi i wyjąłem z kieszeni jedną z tych małych czarnych książeczek. Z głębokiem wzruszeniem zacząłem przewracać kartki, zapisane bladem pismem ołówka. Były to te zwyczajne książeczki, do których porządne gospodynie zapisują wszystkie swoje drobne wydatki.

Oto tuzin szklanek, półmisek i parę rzeczy, w które zapomnieliśmy zaopatrzyć nasze gospodarstwo przed ślubem. Niżej herbata, cukier, chleb, znowu chleb, znowu cukier, mięso, masło i znowu chleb. I toż samo na kilku tych stroniczkach. Tak, nie były to zbyt rozkoszne te pierwsze miesiące naszego pożycia. Zadłużyłem się, aby urządzić jako tako nasze gniazdko, a teraz trzeba spłacać dług i procent. Pierwszy miesiąca: połowę pensyi zapisano na dług. A potem znowu chleb, herbata, cukier, mięso, chleb i znowu chleb.

Wszystkie nasze wydatki były zapisywane

w ścisłych kolumnach. Naprzeciw nich stały wązkie kolumny cyfr.

I znowu chleb, powtarzający się, co trzeci wyraz. Pamiętam doskonale te okrągłe trzyfuntowe bochenki chleba, które Łucya przynosiła w koszyczku. Przyszedłszy do naszego pokoju na trzeciem piętrze, uśmiechała się wesoło, zapobiegając, abym nie pomyślał o tem, że to wchodzenie na tyle schodów męczy ją i jest jej przykrem. Stawiała koszyczek, z którego wyglądał bochenek chleba, i natychmiast zapisywała nowy wydatek w książeczce.

Chleb, chleb, chleb. Jakąż ogromną ilość chleba zjadaliśmy wówczas! Codzień figuruje ta rubryka, naprzeciw niej stoi liczba groszy: dwadzieścia cztery.

Miałem wówczas trzydzieści rubli pensyi, z której dziesięć zabierali wierzyciele. Ale nie martwiliśmy się tem ani na chwilę. Łucya była tak oszczędną i tak gospodarną, że nie uczuwaliśmy braku.

Ale oto w książeczce zapisane nowe słowo: kartofle. A więc nadeszła głęboka jesień. Łucya nie kupowała kartofli, póki były drogie, jak nowalia. Pod kartoflami znowu chleb. Pod nim sól. To krótkie słowo trafia się, co trzecia lub co czwarta stronica. Ale co to? wino! tak, wyraźnie wino, butelka na ośm złotych i ciastko. Cóż to za uczta? Ach! To siedmnasty września, moje imieniny! A potem znowu chleb, cukier, chleb...

Aha! węgiel. To już nadeszła zima. Na drugiej kartce znowu węgiel. Na trzeciej już niema

węgla. Musiała nastąpić odwilż. Ale kilka kartek dalej znowu węgiel. Słowo to jest na każdej stronicy. A nawet jest ono ostatniem słowem pierwszej małej książeczki.

Wziąłem drugą książeczkę do ręki. Zaczyna się ona wyrazem chleb, a potem następuje węgiel. I znowu te małe złotówkowe wydatki, przerywane kiedyniekiedy olbrzymią sumą siedmiu rubli, naprzeciw której figurowało objaśnienie, komorne za miesiąc...

Tu znowu coś niezwykłego: śmietany kwaterka, grzybów pół funta, — co to? Dzień dwudziesty czwarty grudnia, — wilia. Jest nawet *menu:* jedliśmy wtedy grzybową zupę, potem śledzie smażone, kapustę z grzybami, kluski z makiem i komput z suszonych śliwek. Pamiętam tę pierwszą wilię, — byliśmy wtedy tak weseli, tak szczęśliwi! W pierwsze święto Bożego Narodzenia jedliśmy zająca z komputem. Następne kartki długi czas nie pokazują nic nowego. Życie nasze toczyło się zwykłym, powszednim trybem. Szkło do lampy. Zapewne pękło przy mojej pracy w nocy, z mojej winy. Zapomniałem zmniejszyć płomień. A! znowu uczta, — wino, bakalie i ciasta. To dzień szósty kwietnia, rocznica naszego ślubu. Parę kartek dalej, figuruje jakaś niezwykła notatka. Brzmi ona: »Dnia drugiego maja ostatnia rata długu. Zapłacono wszystkiego sto trzydzieści rubli«.

Jakiż to radosny dzień był dla nas! Od tej chwili książeczka staje się jakby weselszą. O węglu już niema mowy. Chleb powtarza się znacznie rzadziej. Za to wchodzą do książeczki bułki. Co

cztery kartki, powtarza się masło, a rzadziej trochę kawa. Tu oto pod kawą spotykam nowy wyraz: lecznica. Pod nim: lekarstwo.

Zapadłem wówczas na oczy. Przyczyną tego było nizkie mieszkanie. Siedząc długo w noc nad pracą przy lampie, zużywa się wiele nafty, która, jako dym, rozchodzi się po pokoju. Mała stancyjka bardzo prędko napełnia się dymem, który gryzie oczy i sprowadza na nie zapalenie. Dalej zapisany jest zadatek na komorne. Byłem wtedy już zdrów; jak widzę z obliczenia pomiędzy słowem lecznica a zadatek, chorowałem przez dwa tygodnie. Poczem zaraz zmieniliśmy mieszkanie. Nowy pokoik był obszerniejszym i wyższym od dawnego, i płaciliśmy za niego, jak tu widać, dziewięć rubli.

Trzecia i czwarta książeczka nie różnią się znacznie od drugiej. Ten sam chleb, cukier, bułki, kawa...

Kiedyniekiedy, ale w bardzo rzadkich odstępach, figuruje wydatek na obuwie lub na ubranie. Piąta książeczka zaczyna się radosną nowiną: »Dziś podwyższono pensyę mojemu mężowi«. Tak, dostałem awans i dziesięć rubli podwyżki. Ale w książeczce nic się nie zmieniło; zaledwie z trudnością da się odszukać ślad dwóch biletów na galeryę do teatru lub dorożki, którą w święto wyjechaliśmy za rogatki miejskie. A zresztą — ciągle toż samo.

Łucya nie chciała nic zmieniać w trybie naszego życia. Odrzucała projekty moje, co do przyjęcia służącej lub powiększenia mieszkania. Gdy nieraz nalegałem na to, wydobywała z głębi komody stary pugilares i, uśmiechając się, pokazy-

wała mi kilka czerwonych zaoszczędzonych dziesięciorublówek. »Widzisz«, — mawiała w takim razie — »nie mielibyśmy nic na czarną godzinę. Dlaczego mam brać służącą, kiedy jestem zupełnie zdrowa, a przytem praca mi służy?«

Dnia siódmego grudnia zapisano w książeczce: zimowy paltot męża rubli czterdzieści. Oto i pochłonięte dotychczasowe oszczędności mojej żony.

Ale oto ostatnia książeczka niedokończona w zupełności. Pozostały w niej jeszcze trzy puste, niezapisane kartki. Na pierwszej zaraz stronie trzy razy zamieszczono wizytę doktora. Łucya zachorowała, a ja byłem w rozpaczy, nie mogąc pozostawać dnie całe przy jej łóżku na jej usługach. Musiałem odsiedzieć codziennie swoje ośm godzin pracy biurowej, a wracając do domu, przynosiłem jeszcze z sobą całą plikę papierów do obrobienia. Byłem przeciążony pracą. W biurze wtedy zapanował chaos. Wykryto różne brudne malwersacye. Naczelnik wydziału podał się do dymisyi. Buchalter i jego pomocnik byli zawieszeni w służbie. Pracowałem za nich wszystkich, nie przestając pracować za siebie.

Wtedy to zgodziłem służącą, dzisiejszą Pawłową, którą postanowiłem zatrzymać i wtedy, gdy Łucya wyzdrowieje. Obiecywałem sobie nie ustąpić pod tym względem i oprzeć się wszelkim protestacyom Łucyi. Kto wie, czy ta jej choroba nie jest skutkiem przeciążenia w pracy?

Pomimo choroby, Łucya nie przestała się zajmować gospodarstwem i zapisywać wydatków w książeczce. Jakże smutnie wygląda to wino, ku-

pione wskutek polecenia doktora! A ile razy na każdej stroniczce zapisane jest lekarstwo? Choroba Łucyi przedłużała się. Trwała już miesiąc. Ja sam czułem, że upadam prawie ze znużenia. Noc przepędzałem w fotelu, nie rozbierając się. Zrywałem się na każde głośniejsze odetchnięcie Łucyi. A w dzień ta praca, wyczerpująca resztki moich sił, praca, którą powinno odrabiać czterech ludzi!

Pewnego dnia jednak skończyło się to wszystko. Zostałem wynagrodzony. Prezes przywołał mnie do swego pokoju i osobiście doręczył mi nominacyę na buchaltera zarządu. Dwa tysiące rubli pensyi!

Było to szczęście, którego spodziewałem się za lat dziesięć! Uszczęśliwiony, pobiegłem do łóżka mojej chorej żony. O! teraz skończy się nasza bieda, myślałem. Nie pozwolę ci się tknąć żadnej pracy. Będziesz miała służącego i kucharkę. Będziemy żyli szczęśliwi, bez troski. Wynagrodzę ci te lata pracyi biedy!

Łucya odrazu poznała zmianę we mnie.

Powiedziałem jej wszystko z taką wiarą w przyszłość, że zdawało mi się, iż ona lepiej podziała na jej organizm, aniżeli te aptekarskie flaszki, ustawione na stole. Uśmiechnęła się do mnie z radością, jak gdyby ziściły się jej marzenia... i tejże nocy... umarła.

. . . .

Nie podzieliła ze mną tego życia, które obiecywało spokój i szczęście. Osłodziwszy mi lata ciężkiej pracy i walki o chleb, przeprowadziła mnie do progu lepszego bytu i cofnęła się.

Nie doczekała się!

. . . .

Nadszedł wieczór. Słońce już zaszło, nie pokazawszy się od rana ani razu. Krótko trwa dzień grudniowy. Zebrałem książeczki mojej żony, schowałem je i powolnym krokiem oddaliłem się od tego miejsca wiecznego spoczynku. Za rogatką na ulicach miasta panował ruch. Słyszałem turkot dorożek, gwar mowy ludzkiej.

Wstępowałem w to ognisko gorączkowego ruchu z niechęcią, jak gdyby ciągniony przez konieczność przeżycia tego, co mi przeznaczono. Ziemia nie ma dla mnie żadnego uroku, odkąd ona tam, — pod ziemią.

MAJOWE NABOŻEŃSTWO.

Przypominam sobie z dziecinnych moich lat obrazek na tle tych nabożeństw, pełnych uroku i poezyi.

Miałem wtedy lat ośm lub dziesięć. Przy końcu kwietnia, czy też w początkach maja rodzice moi przeprowadzili się na ulicę Browarną. Nowe podwórze! nowi chłopcy! Nawet nowe, nieznane mi przedtem zabawy!

Porobiłem sobie szybko stosunki i znajomości na nowem miejscu. Szczególniej zaś zaprzyjaźniłem się z dobrym, potulnym chłopcem w moim wieku, Józkiem, synem mularza, tłuczonym bez powodów i miłosierdzia. Dzieciak domu bał się jak piekła. Przepędzał też całe dnie na powietrzu, na ulicy lub podwórzu i wkrótce ja się tego od niego nauczyłem.

Jedną z rozrywek, które od niego przejąłem, było łapanie ryb... Całe popołudnia przepędzaliśmy na ulicy Dobrej, gdzie na jakimś pustym placu w małym dołku zatrzymywało się po deszczach

trochę wody. Józiek zapewniał mnie, że w tej wodzie są ryby. Zaopatrzyłem się w wędkę, haczyki i ku rozpaczy stróża domu kopałem podwórze, poszukując w ziemi długich glist na przynętę. Raz też udało mi się pochwycić płotkę, wielkości średniego karalucha, którą z tryumfem zaniosłem pokazać rodzicom.

Zapraszałem Józka często do swojego mieszkania. Pokazywałem mu moje cyrkle, farby i książki z malowankami, co go wprawiało w zdumienie i podziw. Darowałem mu nawet jedną książkę i on, chcąc się czemśkolwiek odwdzięczyć za ten wielki prezent, obiecał zaprowadzić mnie do jednej pani, u której w mieszkaniu odbywały się majowe nabożeństwa, na zakończenie których pani ta rozdawała dzieciom ciastka i cukierki.

Nie wtajemniczałem się w to, kto jest ta pani i z jakiej racyi urządza nabożeństwa i rozdaje ciastka; pomyślałem sobie tylko, że to ostatnie jest wcale rozsądnem.

Była to wszakże cała historya...

Mówiono o niej głośno z końca w koniec długiej ulicy Browarnej, a gadania te ucichły, jak ucicha wkońcu najbardziej senzacyjne zdarzenie, odnawiały się co rok z okazyi właśnie tych nabożeństw.

Wpadła mi też ta historya w ucho i zapamiętałem ją, choć w owym czasie nie byłem w stanie właściwie jej zrozumieć.

Stało się to przed laty kilku.

Pani ta była wdową i matką czworga dzieci; maleństwa to były, jedno od drugiego o pół główki

niższe, a najmniejsze odbywało wędrówki po podłodze pokoju na czworakach jeszcze.

I przyszedł nad Wisłę dyfteryt... Po domach zaglądać zaczął i napadał na małe dzieci, chwytając je za gardło i dusząc niewidzialną a zbójecką ręką. Gdzieniegdzie zabrał on jaką niepotrzebną nikomu, nawet sobie istotkę, którąby zmarnowało życie, przewlókłszy je wpierw po cierpieniach. Gdzieniegdzie zostawił trochę płaczu, a zrobił trochę miejsca w izbie. Ale często siał rozpacze i rany, nigdy niezagojone.

Nie pominął i mieszkania szczęśliwej matki. Dwoje dzieci odrazu położył do łóżeczka.

Doglądała je, leczyła i modliła się... Jednego dnia umarło jedno, drugiego drugie. W trzecim dniu jej ręka, dotknąwszy czółka najmłodszego chłopczyka, poczuła gorączkę.

Czyżby i to Pan Bóg miał jej odebrać? Jakże broniła go przed śmiercią wszystkiemi sposobami. Zakupowała msze, opłacała lekarzy. Maleństwo skonało przy operacyi...

Pozostało przy życiu już tylko jedno. Nieszczęśliwa matka przelała całą miłość, tyloma ciosami zranioną, na to — ostatnie! Długie godziny przepędzała teraz na klęczkach przed obrazem Matki Boskiej, u stóp której składała gorące, rozpaczliwe modlitwy o życie tej już jedynej jej pociechy, jedynego celu i nadziei! Była pewną, że ta święta matka, która również straciła swojego syna, zrozumie ją i wysłucha.

Nie wysłuchała...

Zaraza wyciągnęła rękę i po ostatnią dziecinę.

Matka nie posyłała już po lekarzy, tylko nie wstawała prawie z kolan i nie odrywała oczu od obrazu; dziecko umarło w czasie jednej z tych modlitw strasznych, jakie matka słała, prosząc dlań o życie.

Wtedy zropaczona zerwała obraz ze ściany i cisnęła go na ziemię.

Ludzie nie poznawali jej... Postarzała się o lat trzydzieści, posiwiała i oczy jej błyszczały dzikim blaskiem. Przesiadywała teraz w milczeniu z rękami załamanemi, ze wzrokiem w jeden punkt nieruchomo utkwionym całe dnie, tygodnie, miesiące. Długo trwała ta głucha rozpacz. Wszakże czas przyniósł wkońcu nieco opamiętania. Za tak ciężki grzech uczuła wyrzuty i dla przebłagania Matki Bożej, corocznie w miesiącu jej czci w katolickim świecie poświęconym, urządzała nabożeństwa, na które zbierała się spora gromadka dzieci.

Zaprowadził mnie tam Józiek pewnego razu...

Był to mały, czyściutki pokoik o jednem oknie przysłonionem białą muślinową firanką. Takąż firanką otulony był obraz Matki Boskiej, zawieszony nad komodą i otoczony witkami świeżej zieleni. Na komodzie płonęło parę świec, a żółte ich ogniki wychylały się ponad bukiety woniejącego bzu, które przeniosły wiosnę na ten skromny ołtarzyk.

Przed zaimprowizowanym ołtarzykiem tym klęczała inna, wiosna,— dzieci; gromadka ich, biednie ubranych, bosych, z pobożnie złożonemi rękami, z oczami patrzącemi na obraz, śpiewała pieśni.

Gdyśmy weszli, nabożeństwo już się było zaczęło. Śpiesznie więc uklękliśmy, przyłączając się do innych. Śpiewano litanię. Starsza dziewczyna, klęcząca na przodzie z książką do nabożeństwa w ręku, silnym głosem czytała słowa modlitwy, a chórek cienkich dziecinnych głosików odpowiadał:

»Módl się za nami!«

Obejrzałem się za siebie.

Przy ścianie, w kącie siedziała na krzesełku stara, siwa kobieta, z głową opuszczoną na piersi, z rękami złożonemi i spoczywającemi na zamkniętej książce do nabożeństwa.

Pieśni się zmieniały. Wszystkie one poświęcone były czci Matki Bożej. Popłynęła teraz pokorna i poważna Antyfona:

Pod twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko.

Potem odśpiewano:

»Gwiazdo morza...«

Nabożeństwo kończyły strofy, pełne cichego, słodkiego uroku:

»Dobranoc wonna lilia«.

Oglądałem się kilka razy poza siebie.

Kobieta siedziała nieruchomo, jakby obrócona w kamień; ani jednem słowem nie przyłączyła się do naszych modlitw, nie podniosła ani razu oczu na obraz, do którego szły nasze pieśni i wonie bzów.

Gdyśmy po raz ostatni zaśpiewali: »Dobranoc« i cała gromadka hałaśliwie wstała, podniosła się i ona... sięgnęła do szafy po torebkę z łakociami.

Wtedy jedno po drugiem przychodziło do niej, całowało jej rękę na pożegnanie i otrzymywało ciastko lub cukierek.

Gdym i ja zbliżył się za koleją, spojrzała na mnie i zatrzymała rękę nad torebką. Przez chwilę byłem niepewny, czy dostanę łakocia.

Józiek, stojący przy mnie, pospieszył z objaśnieniem:

— To nowy chłopak — rzekł — on pierwszy raz przyszedł, jego rodzice niedawno się na tę ulicę sprowadzili.

Kiwnęła głową.

— Jak ci na imię? — zapytała głosem ledwie dosłyszalnym.

— Wicek.

— Masz rodzeństwo?

— Mam.

— Siostry i braci?

— Dwóch braci i trzy siostry.

— Sześcioro — szepnęła.

Pogłaskała mnie po czole i sięgnęła do torebki po ciastko.

Przychodziłem tu codziennie przez cały maj tego i następnego roku; potem przeprowadziłem się do innej dzielnicy i o nabożeństwach majowych zapomniałem.

Po kilku latach odwiedzałem kolegę, zamieszkałego w tych stronach. Było to właśnie w maju. Stanęły mi w myśli dawne chwile i poszedłem odszukać mieszkanie osieroconej matki.

Trafiłem na nabożeństwo majowe... zdala już doszedł mnie początek rzewnej pieśni:

»Serdeczna Matko! opiekunko ludzi,
»Niech cię płacz sierót do litości wzbudzi«.

Wszedłem. Ten sam pokoik i taki sam ołtarzyk, zieleni i bzu pełen. Gromadka dzieci, jak dawniej, klęczy na środku. Tylko twarze inne, nieznajome. A z boku przy nich klęczy stara kobieta i cichym głosem powtarza wraz z chórem słowa pieśni:

»Serdeczna Matko! opiekunko ludzi,
»Niech cię płacz sierót do litości wzbudzi«.

Oczy jej pobożnie patrzyły na obraz.

Czas wyłagodził bóle, najcięższe, jakich doznać może istota ludzka...

WYBÓR PISARZÓW POLSKICH

DLA DOMU I SZKOŁY.

DOTĄD WYSZŁY:

1. **J. Kochanowski.** Treny. k. 15
2. **A. Mickiewicz.** Grażyna. . 15
3. **J. Kochanowski.** Odprawa posłów greckich. . . . 15
4. **A. Mickiewicz.** Konrad Wallenrod. 20
5. **K. Brodziński.** Wiesław. . 15

P. Skarga. Kazania sejmowe. (Wybór) 20

DALSZE TOMIKI BĘDĄ ZAWIERAŁY NASTĘPUJĄCE UTWORY:

A. J. Czartoryski. Bard polski.
A. Feliński. Barbara.
A. hr. Fredro. Zemsta za mur graniczny.
— Śluby panieńskie.
J. Kochanowski. Wybór pieśni i psalmów.
— Wybór fraszek.
— Szachy.
J. Korzeniowski. Karpaccy górale
I. Krasicki. Satyry.
— Myszeis.
— Doświadczyński.
Z. Krasiński. Nieboska komedya.
— Irydion.
— Przedświt.
— Psalmy przyszłości.
K. Libelt. O miłości ojczyzny.
A. Malczewski. Marya.
A. Mickiewicz. Dziady.
— Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego.
A. Mickiewicz. Sonety.
— Drobne wiersze.
J. U. Niemcewicz. Powrót posła.
— Dwaj panowie Sieciechowie.
— Poezye patryotyczne.
J. Pasek. Pamiętniki.
W. Potocki. Wojna chocimska.
W. Pol. Pieśni Janusza.
— Pieśń o ziemi.
— Mohort.
— Obrazy z podróży.
M. Romanowski. Dziewczę z Sącza.
K. Szajnocha. Jadwiga i Jagiełło.
— Wybór szkiców historycz.
L. Syrokomla. Wielki czwartek.
— Janko Cmentarnik.
— Bez chleba.
— Ułas.
— Urodzony Jan Dęboróg.
— Wybór liryk.
J. Słowacki. Bielecki.
— Mnich.
— Godzina myśli.
— Kordyan.
— Balladyna.
— Trzy poematy.
— Anhelli.
— Lilla Weneda.
— Beniowski.
— Król-Duch.
K. Ujejski. Wybór.
F. Zabłocki. Fircyk w zalotach.
G. Żmichowska. Wybór liryk.
— Poganka.